

WŁADYSŁAW REYMONT

ZIEMIA
OBIECANA



WŁADYSŁAW REYMONT

ZIEMIA
OBIECANA

 SAGA
EGDMONT

Władysław Stanisław Reymont

Ziemia Obiecana

Saga

Ziemia Obiecana

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1899, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728187739

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą

Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Tom pierwszy

Lilly * * *

Autor

I.

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiełkliwiej inne i dały się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów, piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje — kominy, majaczyły w nocy, w mgle i w deszczu — budziły się zwolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz pomieszany ze śniegiem padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grzęskiego błota, na nagie drzewa przytulone do długich murów, drżące z zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiękłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto i szumiał między gałęziami drzew i bił niemi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

Borowiecki się obudził, zapalił świecę i równocześnie budzik zaczął dzwonić gwałtownie, wskazując piątą.

— Mateusz, herbata! — krzyknął do wchodzącego lokaja.

— Wszystko gotowe.

— Panowie śpią jeszcze?

— Zaraz będę budził, jeśli pan dyrektor każe, bo pan Moryc mówił wieczorem, że chce dzisiaj spać dłużej.

— Idź obudź.
— Klucze już brali?
— Sam Szwarc wstępował.
— Telefonował kto w nocy?
— Kunke był na dyżurze, ale odchodząc nic mi nie mówił.
— Co słyszeć na mieście? — pytał prędko, prędzej jeszcze się ubierając.
— A nic, ino zaś na Gajerowskim rynku zażgali robotnika.
— Dosyć, ruszaj.
— Ale, spaliła się też fabryka Goldberga, na Cegielnianej. Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostały tylko mury. Z suszarni poszedł ogień.
— Cóż więcej?
— A nic, wszystko poszło fein, na glanc — zaśmiał się rechocząco.
— Nalewaj herbatę, ja sam obudzę pana Moryca.
Ubrał się i poszedł do sąsiednich pokoi, przechodząc przez stołowy, w którym wisząca u sufitu lampa rozrzucała ostre, białe światło na stół okrągły, nakryty obrusem i zastawiony filiżankami i na samowar błyszczący.
— Maks, piąta godzina, wstawaj! — zawołał, otwierając drzwi do ciemnego pokoju, z którego buchnęło duszne, przesycone zapachem fiołków powietrze.
Maks się nie odezwał, tylko łóżko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć.
— Moryc! — zawołał do drugiego pokoju.
— Nie śpię. Nie spałem całą noc.
— Dlaczego?
— Myślałem o tym naszym interesie, trochę sobie obliczałem i tak zeszło.
— Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy i to zupełnie „na glanc”, jak Mateusz mówi...
— Dla mnie to nie nowina — odpowiedział, ziewając. — Skąd wiedziałeś?

— Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji.

— Miał dużo towaru?

— Miał dużo zaasekurowane...

— Bilans sobie wyrównał.

Roześmiali się obaj szczerze.

Borowiecki wrócił do stołowego i pił herbatę, a Moryc, jak zwykle, szukał po całym pokoju różnych części garderoby i wymyślał Mateuszowi.

— Ja tobie zbiję ładny kawałek pyska, ja ci z niego czerwony barchan zrobię, jak mi nie będziesz składał wszystkiego porządnie.

— Morgen! — krzyknął przebudzony wreszcie Maks.

— Nie wstajesz? Już po piątej.

Odpowiedź zagłuszyły świstawki, które się rozległy jakby tuż nad domem i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Moryc, w białiznie tylko, z paltem na ramionach, usiadł przed piecem, w którym wesoło trzaskały szczapy smolne.

— Nie wychodzisz?

— Nie. Miałem jechać do Tomaszowa, bo Weis pisał do mnie, aby mu sprowadzić nowe greple, ale teraz nie pojedę. Zimno mi i nie chce mi się.

— Maks, także zostajesz w domu?

— Gdzie się będę spieszył? Do tej parszywej budy? A zresztą wczoraj się z fatrem pożarłem.

— Maks, ty źle skończysz przez to żarcie się ciągle i ze wszystkimi! — mruknął niechętnie i surowo Moryc, rozgrzebując pogrzebaczem ogień.

— Co cię to obchodzi! — krzyknął głos z drugiego pokoju.

Łóżko zatrzeszczało gwałtownie i w drzwiach ukazała się wielka figura Maksa, w białiznie tylko i pantoflach.

— A właśnie, że mnie to bardzo obchodzi.

— Daj mi spokój, nie irytuj mnie. Karol mnie obudził dyabli wiedzą po co, a ten znowu pyskować zaczyna.

Gadał głośno, niskim, silnie brzmiącym głosem.

Cofnął się do swojego pokoju i po chwili wyniósł całą garderobę, rzucił ją na dywan i z wolna się ubierał.

— Ty nam psujesz interes tem swoim żarciem — zaczął znowu Moryc, wciskając złote binokle na swój suchy, semicki nos, bo mu się ciągle zsuwały.

— Gdzie? co? jak?

— Wszędzie. Wczoraj u Blumentalów powiedziałeś głośno, że większość naszych fabrykantów to prości złodzieje i oszuści.

— Powiedziałem, a jakże i zawsze to będę mówił.

Jakiś niechętny, pogardliwy uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy patrzył na Moryca.

— Ty, Maks Baum, mówić tego nie będziesz, mówić ci tego nie wolno, to ja ci powiadam.

— Dlaczego? — zapytał cicho i oparł się o stół.

— Ja ci powiem, jeśli tego nie rozumiesz.

Przedewszystkiem, co ci do tego? Co cię to obchodzi, czy oni są złodzieje, czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić geszeft, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze, jak może i jak umie. Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykał pons nr 4.

— Ja jestem uczciwy człowiek — burknął tamten, nalewając sobie herbatę.

Borowiecki, oparty o stół łokciami, utopił twarz w dłoniach i słuchał.

Moryc na odpowiedź usłyszana odwrócił się gwałtownie, aż binokle mu spadły i uderzyły w poręcz krzesła, popatrzył się na Maksa z uśmiechem gryzącej ironii na wąskich ustach, pogładził cienkimi palcami, na których skrzyły się

brylantowe pierścionki, rzadką, czarną jak smoła brodę i szepnął drwiąco:

— Nie gadaj Maks głupstw. Tu chodzi o pieniądze. Tu chodzi, żebyś nie wyjeżdżał z temi oskarżeniami publicznie, bo to naszemu kredytowi może zaszkodzić. My mamy założyć fabrykę we trzech; my nic nie mamy, to my potrzebujemy mieć kredyt i zaufanie u tych, co go nam dadzą. My teraz potrzebujemy być porządni ludzie, gładcy, mili, dobrzy. Jak ci Borman powie: „Podła Łódź”, to mu powiedz, że jest cztery razy podłą — jemu trzeba przytakiwać, bo to gruba fisz. A coś ty o nim powiedział do Knolla? Że jest głupi cham. Człowieku, on nie jest głupi, bo on ze swojej mózgownicy wyciągnął miliony, on te miliony ma, a my je także chcemy mieć. Będziemy mówić o nich wtedy, jak będziemy mieli pieniądze, a teraz trzeba siedzieć cicho, oni są nam potrzebni; no, niech Karol powie, czy ja nie mam racji — mnie idzie przecież o przyszłość nas trzech.

— Moryc ma zupełną prawie słuszność — powiedział twardo Borowiecki, podnosząc zimne, szare oczy na wzburzonego Maksa.

— Ja wiem, że wy macie rację, łódzką rację, ale nie zapominajcie, że jestem uczciwy człowiek.

— Frazes! stary, wytarty frazes!

— Moryc, ty jesteś podły żydziak! — wykrzyknął gwałtownie Baum.

— A ty jesteś głupi, sentymentalny Niemiec.

— Kłóćcie się o wyrazy — ozwał się chłodno Borowiecki i zaczął wdziawać palto. — Żałuję, że nie mogę zostać z wami, ale puszczam w ruch nową drukarnię.

— Nasza wczorajsza rozmowa na czym stała? — zapytał spokojnie już Baum.

— Zakładamy fabrykę.

— Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic — zaśmiał się głośno.

— To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę. Cóż stracimy? Zarobić zawsze można — dorzucił po chwili. — Zresztą, albo robimy interes, albo interesu nie robimy. Powiedzcie raz jeszcze.

— Robimy, robimy! — powtórzyli obaj.

— Co to, Goldberg się spalił? — zapytał Baum.

— Tak, zrobił sobie bilans. Mądry chłop, robi miliony.

— Albo skończy w kryminale.

— Głupie słowo! — zachnął się niecierpliwie Moryc. — Ty sobie takie rzeczy gadaj w Berlinie, w Paryżu, w Warszawie, ale w Łodzi nie gadaj. To nieprzyjemne słowa, nam oszczędź ich.

Maks się nie odezwał.

Świstawki znowu zaczęły podnosić swoje przenikliwe, denerwujące głosy i śpiewały coraz potężniej hejnał poranny.

— No, muszę już iść. Do widzenia, spółnicy, nie kłóćcie się, idźcie spać i śnijcie o tych milionach, jakie zrobimy.

— Zrobimy!

— Zrobimy! — powiedzieli razem.

Uścisnęli sobie mocno, po przyjacielsku dłonie.

— Zapisać trzeba dzisiejszą datę; będzie ona dla nas bardzo pamiętną.

— Dodaj tam, Maksie, taki nawias, kto z nas najpierw zechce okpić drugich.

— Ty, Borowiecki, jesteś szlachcic, masz na biletach wizytowych herb, kładłeś nawet na *prokurze* swoje *von*, a jesteś największym z nas wszystkich Łodzermenschem — szepnął Moryc.

— A ty nim nie jesteś?

— Ja przede wszystkim mówić o tem nie potrzebuję, bo ja potrzebuję zrobić pieniądze. Wy i Niemcy — to dobre

narody, ale do gadania.

Borowiecki podniósł kołnierz, pozapinał się starannie i wyszedł.

Deszcz mrzył bezustannie i zacinał skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzieniegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkie żółtego światła, w którym błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migały setki ludzi, w ciszy wielkiej a z pośpiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

— Zrobimy? — powtórzył Borowiecki, przystając i topiąc spojrzenie w tym chaosie kominów, majaczących w ciemności; w tej masie czarnej, nieruchomej, dziwnej jakimś kamiennym spokojem, fabryk, co stały wszędzie i ze wszystkich stron zdały się wyrastać przed nim czerwonymi, potężnymi murami.

— Morgen! — rzucił ktoś stojącemu, biegnąc dalej.

— Morgen... — szepnął i poszedł wolniej.

Gryzły go wątpliwości, tysiące myśli, cyfr, przypuszczeń i kombinacji przewijało mu się pod czaszką, zapominał prawie, gdzie jest i dokąd idzie.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska — napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek, błyszczących w świetle latarni, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym, oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapelniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani zwolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpierać i jakby chwiał się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chlupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzieś tam, w jakimś okienku na poddaszu, lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym i obijał się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za którymi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tem rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stosy materiałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnymi blaskami świeciły, na bladą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Pogładził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał.

— Co za głupstwo — szepnął niechętnie i obejrzał się dookoła, jakby z obawy, czy kto nie widział tej chwilowej słabości.

Nie było nikogo, ale już szarzało, ze słabego, przemglonego świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe ładowane węglem i platformy naładowane przędzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy nimi przemykały pośpiesznie małe bryczki lub powoziki fabrykantów spieszących do zajęć, lub tłukła się z hałasem dorożka wioząca zapóźnionego oficjalistę.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił na lewo, w małą, niebrukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami na sznurach i olbrzymią fabryką, która już szła. Długi czteropiętrowy budynek świecił wszystkimi oknami.

Przebrał się szybko w zafarbowaną, brudną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

II.

— Murray dzień dobry! — krzyknął Borowiecki. Murray okręcony w długi, niebieski fartuch, wysunął się z po za rządów ruchomych kotłów, w których się gotowały i robiły farby. W mdłym świetle elektrycznym, przesyconem kolorowemi parami, jego długa, koścista twarz starannie wygolona i świecąca blado-niebieskimi, jakby wypełzłemi oczami, robiła wrażenie karykatury z Puncha.

— A, Borowiecki! Chciałem widzieć pana, byłem u was wieczorem, zastałem Moryca, ale że ja go nie cierpię, nie czekałem.

— Dobry chłopak.

— Co mi do jego dobroci! Nie cierpię jego rasy.

— Drukują już pięćdziesiąty siódmy numer?

— Drukują. Wydawałem farbę.

— Trzyma się?

— Pierwsze metry nieco lakowała. Przysłali z centrali zamówienie na pięćset sztuk tej pańskiej lamy.

— Aha, dwudziesty czwarty numer, seledynowa.

— I z filii Bech telefonował o to samo. Czy będziemy robić?

— Dzisiaj już nie. Mamy bojki pilne, mamy jeszcze pilniejsze do drukowania te letnie korty.

— Telefonowali o barchan numer siódmy.

— W apreturze. Muszę tam zaraz iść.

— Chciałem panu coś powiedzieć...

— Słucham, słucham! — szepnął grzecznie, ale z pewną niechęcią.

Murray ujął go pod rękę i odprowadził w kąt za wielkie beczki, z których co chwila czerpano farby.

„Kuchnia”, bo tak nazywano tę salę, tonęła w zmroku. Pod okapami wiszącymi nisko, niby pod stalowymi parasolami kręciły się wolno, automatycznie, szerokie miedziane mieszadła, przegarniające farby w wielkich kotłach, błyszczących miedzią polerowaną.

Budynek cały drżał od ruchu maszyn.

Długie transmisye, niby węże blado-żółte, nieskończonej długości, goniły się z szaloną szybkością pod sufitem, przewijały się nad podwójnym szeregiem kotłów, pełzały wzdłuż ścian, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzane w obłoku gryzących kolorowych par, co buchały ustawicznie z kotłów i przyciemniały światło i uciekały wskroś murów, przez wszystkie otwory do innych sal.

Sylwetki robotników w koszulach umazanych farbami przemykały cicho i jak cienie ginęły w zmroku; wózki z łoskotem wjeżdżały i wyjeżdżały obładowane farbami gotowymi, które wiozły do drukarni i farbiarni.

Ostry straszliwie zapach siarki rozchodził się wszędzie.

— Kupiłem wczoraj meble — szeptał cicho do ucha Borowieckiemu. — Uważasz pan, do saloniku kupiłem żółte jedwabne w stylu empire. Do jadalnego obstałowałem dębowe w stylu Henryka IV, a do buduaru...

— A kiedyż się pan żeni? — przerwał mu dosyć niecierpliwie.

— No, nie wiem jeszcze. Chociaż ja chciałbym jak najprędzej.

— To już po oświadczeniach? — spojrzał dosyć ironicznie na zgarbionego i dosyć śmiesznie wyglądającego anglika; jego garb wydał mu się teraz potwornym, a on sam przypominał małą tę długą, wystającą szczęką i szerokimi ustami, niezmiernie ruchliwymi.

— Tak jakby już. W niedzielę właśnie powiedziała mi, jakby chciała mieć urządzone mieszkanie. Wypytałem się szczegółowo, odpowiadała tak, jak odpowiadają kobiety, gdy idzie o ich przyszłe gospodarstwo.

— Ostatnią razą myślałeś pan tak samo.

— Tak, ale nie miałem takiej pewności ani w połowie!

— zaręczał gorąco.

— No, kiedy tak, to winszuję panu szczerze, kiedyż poznam narzeczoną?

— Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko.

— Dla tego też wierzę, iż się pan w końcu ożeni — szepnął drwiąco.

— Możebyś pan przyszedł jutro do mnie, dobrze? Chciałem koniecznie usłyszeć pańskie zdanie o tych meblach.

— Przyjdę.

— Ale kiedy?

— Po obiedzie.

Murray wrócił do farb i laboratorium, a Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze i przejścia zapchane wózkami naładowanymi towarem ociekającym wodą, ludźmi i stosami towaru leżącego na ziemi w wielkich kupach, oczekującego swojej kolei.

Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, szybko decydował, pośpiesznie informował, czasem obejrzał próbkę z farby, jaką mu przynosił robotnik, rzucał stanowczo:

— Dobrze lub jeszcze — i leciał dalej wśród spojrzeń setek robotniczych i szumu fabryki, co niby piekło wrzała chaosem.

Wszystko się trzęsło; ściany, sufity, maszyny, podłogi, huczały motory, świszczały przenikliwie pasy i transmisye, turkotały po asfaltowej podłodze wózki, szczękały czasem

koła rozpedowe, zgrzytały tryby, leciały wskroś tego morza rozbitych drgań jakieś krzyki lub rozlegał się potężny, chuczący oddech maszyny głównej.

— Panie Borowiecki!

Wyteżył oczy, bo wśród par, jakie zalegały całą farbiarnię, nie było nic prawie widać, prócz słabych zarysów maszyn. Nie wiedział, kto woła.

— Panie Borowiecki!

Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

— A, pan prezes — szepnął, poznawszy właściciela fabryki.

— Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

— Robota, panie dyrektorze.

— Tak, tak, ja to rozumiem. Zmęczyłem się na śmierć — trzymał go silnie za ramię, zamilkł i dyszał ciężko ze zmęczenia.

— Idzie, co? — zapytał po chwili.

— Robi się — rzucił krótko i szedł naprzód.

Fabrykant uczepony u jego ramienia włókł się ciężko, podpierał się grubą laską i zgarbiony prawie we dwoje, podnosił okrągłe czerwone oczy jastrzębie i twarz dużą, świecącą, okrągłą, ozdobioną małymi baczkami i wąsami przyciętymi równo.

— Cóż, te Watsony dobrze działają?

— Po piętnaście tysięcy metrów dziennie drukują.

— Mało — mruknął cicho, puścił jego ramię i przysiadł na wózku pełnym surowego perkalu, obciągnął gruby kaftan, w jaki był ubrany, podparł się laską i siedział.

Borowiecki pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi, na wielkich wałach rozwinięte zwoje materiałów kręciły się w kółko i kąpały w farbie, rozpryskując ją na twarze i koszule robotników, którzy stali nieruchomie, co chwila czerpiąc z kadzi wodę dłonią i patrząc, czy jest w niej jeszcze farba, którą wyciągał materiał.

Kilkadziesiąt tych wałów ustawionych rzędem, toczyło się wciąż w kółko, z męczącą jednostajnością, długie, poskręcane zwoje materiałów pławiły się w farbach i błyskały w mgle matowymi plamami czerwieni, błękitu i ochry.

Z drugiej strony, za podwójnym rzędem żelaznych słupów, podtrzymujących wyższe piętra fabryki i rozrośniętych gęsto po olbrzymiej sali, stały płuczkarnie; długie skrzynie, pełne wrzącej wody, pieniącej się sodą, praczek mechanicznych, wyżymaczek, mydła, przez które przesuwiał się surowy materiał; bryzgi rozbitej trzepaczkami wody rozsypywały się na salę i tworzyły nad praczkarniami tak gęsty тумan, że światła paliły się zaledwie jakby odbite w lustrze.

Mechaniczne odbieracze szczękały, odbierając wyprany już towar, na siebie, niby na rozkrzyżowane ręce i oddawały go robotnikom, którzy prętami układali go w wielkie fałdy na wózki, podsuwane co chwila.

— Panie Borowiecki — zawołał fabrykant do jakiegoś cienia, co się wychylił z mgieł, ale to nie był Borowiecki.

Podniósł się i włókł swoje chore zreumatyzowane nogi po sali, kąpał się z rozkoszą w tej rozpalonej atmosferze. Zatapiał swoje schorowane ciało w sali pełnej oparów, ostrych zapachów farb, wody pryskającej z płuczkarek i z kadzi, ściekającej z wózków, chlupiącej pod nogami, lejącej się z sufitów, z których skroplona para opadała prawie strumieniami.

Szalony, podobny do drgającego jęku, szcęk centryfugi, wyciągającej wodę z materiałów, przenikał całe sale, wświdrowywał się w nerwy robotników pilnujących, wpatrzonych w robotę i pochłoniętych zupełnie czuwaniem nad maszynami i rozbijał się o kolorowe, powiewające niby sztandary materiały na „odbieraczach”.

Borowiecki teraz był w sąsiedniej sali, gdzie na niskich angielskich maszynach starego systemu farbowano ordynarny czarny towar na męskie ubrania.

Dzień wlewał się setkami okien i kładł zielonawy ton na czarne opary i na robotników, co niby kolumny z bazaltu stali nieruchomi, z założonemi rękami, wpatrzeni w maszyny, przez które przesuwwały się dziesiątki tysięcy metrów gryzione przez spienione, bryzgające, czarne farby.

Mury drżały ciągle. Fabryka pracowała wszystkimi mięśniami.

Windy, osadzone w murach, łączyły dół fabryki z jej czterema piętrami wierzchu. Co chwila rozlegał się głuchy szcęk w innej stronie sali, to winda brała lub wyrzucała z siebie wózki, towary, ludzi...

Dzień i do wielkiej sali zaczął zaglądać, brudne światło wciskało się przez małe zapocone szybki, zasnuwane brudem i parą, wyłaniając z nich zarysy pełniejsze maszyn i ludzi, ale w tem szaro-zielonawym świetle, po którym pływały długie smugi czerwonych oparów i gdzie pyliły się nimby gazowych świateł — i ludzie i maszyny wyglądali jak nieprzytomni, jak widziadła porwane straszną siłą ruchu; jak jakieś strzępy, pyły, drzazgi skłębione, splątane, rzucone w wir, który z hukiem się przewalał.

Herman Bucholc, właściciel fabryki, gdy obejrzał farbiarnię, powlókł się dalej.

Przechodził pawilony, podnosił się w górę windami, schodził schodami, sunął się długimi korytarzami, przyglądał się maszynom, oglądał towar, rzucał czasem posępnym okiem na ludzi, czasem rzekł jakieś krótkie słowo, które jak błyskawica oblatywało całą fabrykę, odpoczywał na stosach sztuk, czasem na progach; niknął, aby za chwilę pokazać się w innej stronie fabryki, przy składach węgla, pomiędzy wagonami, których rzędy stały z

jednej strony olbrzymiego czworoboku dziedzińca, ogrodzonego niby parkanem, murami fabryki.

Był wszędzie, a chodził jak noc jesienna ponury i milczący; gdzie się tylko zjawił, gdzie przeszedł, rozmowy milkły, twarze się pochylały, oczy przestawały widzieć, postacie się zginały i kurczyły jakby chcąc ująć z pod promienia jego oczów.

Spotykał się kilkakrotnie z Borowieckim, biegającym ustawicznie po oddziale.

Spoglądali na siebie przyjaźnie.

Herman Bucholc lubił swojego dyrektora drukarni, więcej, on go szacował na całe te 10.000 rubli, jakie mu płacił rocznie.

— To jest najlepsza moja maszyna w tym oddziale — myślał, patrząc na niego.

Sam już się nie zajmował niczem, zięć prowadził fabrykę, a on wskutek przyzwyczajenia całego życia co rano przychodził do niej razem z robotnikami.

W fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to łąził po kantorach, składach, magazynach bawełny.

Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa, które stworzył pracą własną całego życia i mocą swojego geniuszu przemysłowego, musiał czuć pod nogami, w sobie, te roztargane, trzęsące się mury; czuł się dopiero dobrze przedzierając się przez przedzę transmisy i pasów, rozwleczoną po całej fabryce, wśród ostrych zapachów farb, blichowni, surowego materiału i smarów rozgrzanych w tym upale strasznym.

Siedział teraz w drukarni i przysłoniętymi oczyma patrzył na salę, jasno oświetloną wielkimi oknami, na maszyny drukarskie w ruchu, na te piramidy żelazne pracujące pospiesznie i w jakiejś groźnej ciszy.

Przy każdej „drukarce” osobna maszyna parowa świstała swem kołem pociągowym, które niby srebrne, wypolerowane tarcze, migotały z taką szaloną szybkością, że nie można było pochwycić konturów, a tylko jakiś nimb srebrny wirował dokoła swojej osi i rozpylał świetlany, roziskrzony tuman.

Maszyny działały z nieustającym ani na chwilę pośpiechem; długie nieskończenie pasy materiałów, co się przewijały pomiędzy walcami miedzianymi, odciskającymi na nich barwy deseni, ginęły w górze, na wyższym piętrze, w suszarni.

Ludzie z tyłu maszyn podkładający towar do drukowania, poruszali się sennie, a majstrowie stali przed maszynami, co chwila któryś się pochylił, przypatrywał walcom, dolewał farby z wielkich kadzi, patrzył na materiał i znowu stał zapatrzonego w te tysiące metrów, biegnących z szalonym pośpiechem.

Borowiecki wpadał do drukarni, aby śledzić działanie świeżo umontowanych maszyn, porównywał próbki ze świeżo drukowanymi materiałami, wydawał polecenia, czasem na jego skinienie zatrzymywano działający kolos, oglądał szczegółowo i szedł dalej znowu, bo ten potężny rytm fabryki, te setki maszyn, tysiące ludzi śledzących z najwyższą, prawie pobożną uwagą, za ich działaniem, te góry towarów leżących, przewożonych wózkami, snujących się przez sale z pralni do farbiarni, z farbiarni do suszarni, stamtąd do apretury i w dziesięć jeszcze innych miejsc nim wyszły gotowe — porywał go.

Chwilami tylko siadał w swoim gabinecie, położonym przy „kuchni” i tam, w przerwie pomiędzy kombinowaniem nowych deseni, oglądaniem przysyłanych z zagranicy próbek, których olbrzymie, naklejone w albumy stosy leżały po stołach — zamyślał się, a raczej próbował myśleć o sobie, o tym projekcie fabryki planowanej łącznie z

przyjaciółmi — ale nie mógł zebrać myśli, nie mógł ani na chwilę zamknąć się w sobie, bo ta fabryka, której szum huczał w jego gabinecie, której ruch i pulsowanie czuł we własnych nerwach, w tętnie krwi nieomal, nie pozwalała się odosobnić, ciągnęła nieprzeparcie, zmuszała do służby i warowania każdego, który krążył po jej orbicie.

Zrywał się i biegł znowu, ale dzień mu się strasznie dłużył, tak, że około czwartej poszedł do kantoru, który był w innym oddziale, aby wypić herbaty i zatelefonować do Moryca, aby był dzisiaj w teatrze, gdzie dawano przedstawienie amatorskie na jakiś cel dobroczynny.

— Pan Welt dopiero z pół godziny jak od nas wyszedł.

— Tutaj był?

— Brał pięćdziesiąt sztuk białego towaru.

— Dla siebie?

— Nie, na zlecenie Amfilowa, do Charkowa. Cygarem można służyć?

— Owszem, zapalę, bo jestem dyabło zmęczony.

Zapalił i siadł na wysokim taburecie, przed pustym biurkiem.

Główny buchalter kantoru, który go z uniżonością traktował cygarem, stał przed nim, napychając sobie fajkę tytoniem, kilku młodych chłopaków, usadowionych na wysokich kobyłkach, pisało w wielkich, czerwono poliniowanych książkach.

Cisza, jaka tutaj panowała, drażniący skrzyp piór, monotonne cykanie zegaru, denerwująco działały na Borowieckiego.

— Cóż słyszeć, panie Szwarc? — zapytał.

— Rozenberg się załamał.

— Zupełnie?

— Nie wiadomo jeszcze, ale ja myślę, że się będzie układał, no, bo co za interes robić zwykłą klapę? — zaśmiał się cicho i przybijał palcem wilgotny tytoń w fajce.

— Firma traci?
— To zależy od tego ile będzie płacił za sto.
— Bucholc wie?
— Nie był jeszcze dzisiaj u nas, ale jak się dowie, zabolą go odciski; jest czuły na straty.
— Jego szlag może trafić — szepnął któryś z pochyłonych przy robocie.
— Byłaby szkoda!
— Bardzo wielka, niech Bóg broni!
— Niech żyje sto lat, niech ma sto pałaców, sto milionów, sto fabryk.
— I niech go razem sto choler ciśnie! — szepnął cicho któryś.

Cisza się zrobiła.

Szwarc patrzył groźnie na piszących, to na Borowieckiego, jakby chciał się usprawiedliwić, że on nic nie winien, ale Borowiecki znudzonym wzrokiem patrzył w okno.

W kantorze panowała atmosfera przytłaczającej nudy.

Ściany aż po sufit wyłożone drzewem malowanym na dąb, pełne półek i książek, rozstawionych systematycznie, żółciły się smutnie.

Naprost okien stał wielki, czteropiętrowy budynek, z nagiej, czerwonej cegły i rzucał szaro-rdzawy, przygnębiający refleks do kantoru.

Przez podwórko, wylane asfaltem, po którym turkotały od czasu do czasu wózki i przechodzili ludzie, w kilku kierunkach biegły na wysokości pierwszego piętra grube, jak ramiona atlety, transmisye, warcząc głucho, od czego szyby w kantorze ustawicznie drżały

Wysoko nad fabryką wisiało niebo ciężką, brudną płachtą, z której ściekał drobny deszcz i spływał po zabrudzonych murach smugami jeszcze brudniejszymi i

sączył się po oknach kantoru, zakurzonych pyłem węglowym i bawełnianym, niby wstrętne plwociny.

W kącie kantoru, nad gazem, zaczął szumieć samowar.

— Panie Horn, może pan dać mi herbaty?

— A może pan dyrektor zechce butersznik! — ofiarowywał uprzejmie Szwarc.

— Tylko trochę koszerne.

— To znaczy, że lepszy niżli pan jadasz, panie von Horn!

Horn przyniósł herbatę i zatrzymał się na chwilę.

— Co panu jest? — zapytał go Borowiecki, który z nim znał się bliżej.

— Nic — odparł krótko i powlókł niezawistnym spojrzeniem po Szwarcu, który rozwijał butersznity z gazety i układał je przed Borowieckim.

— Wyglądasz pan bardzo źle.

— Panu Horn nie służy fabryka. Po salonach trudno mu się przyzwyczaić do kantoru i do roboty.

— Bydlę, albo inny parszywiec może się łatwo przyzwyczaić do jarzma, ale człowiekowi trudniej — syknął ze złością, ale tak cicho, że Szwarc nie zrozumiał słów, spojrzał uważnie, uśmiechnął się tępo i szepnął:

— Panie von Horn! Panie von Horn! Może pan dyrektor spróbuje, jest tu kombinacja szynki z pulardą, bardzo dobra, moja żona jest sławna z tego.

Horn odszedł, usiadł przy biurku i błędził spojrzeniem po murach czerwonych, po oknach, za którymi bieliły się stosy szarpanej do przedzenia bawełny.

— Daj mi pan jeszcze herbaty.

Borowiecki chciał go wybadać.

Horn herbatę przyniósł i nie podnosząc oczów zawrócił się do odejścia.

— Panie Horn, może pan za jakie pół godziny przyjdzie do mnie?

— Dobrze, panie dyrektorze. Ja nawet miałem interes i w tym celu jutro się wybierałem do pana. A może pan teraz zechcesz wysłuchać?

Chciał coś poufnie szepnąć, ale do kantoru weszła kobieta, czworo dzieci wpychając przed sobą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — szepnęła cicho, ogarnęła wzrokiem te wszystkie głowy, co się podniosły z nad pulpity, schyliła się pokornie do nóg Borowieckiego, bo stał najbliżej i miał najbardziej okazałą twarz.

— Wielmożny panie dziedzicu, a to z prośbą przyszłam, wedle tego, co mojemu mężowi głowę urwało w maszynie, co ja teraz sierota biedna z dziećmi, co my jesteśmy biedne. Tom przyszła dopraszać się sprawiedliwości, aby mi pan dziedzic dał wspomnienie jako mojemu mężowi urwało głowę w maszynie. Wielmożny panie dziedzicu — i schyliła się znowu do kolan Borowieckiego, wybuchając płaczem.

— Za drzwi, wynosić się, tutaj takich spraw nie załatwia się! — krzyknął Szwarc.

— Cicho pan bądź! — zawołał na niego Borowiecki po niemiecku.

— Proszę pana, ona już od pół roku nachodzi wszystkie oddziały i kantory nasze, nie można się jej pozbyć niczem.

— A dlaczego niezałatwione?

— Pan się pyta? Ten cham umyślnie podłożył łeb pod koło, jemu się nie chciało pracować, a jemu się chciało okraść fabrykę! My teraz mamy płacić na jego babę i bękarty!

— A ty parchu jeden, to moje dzieci bękarty! — wykrzyknęła kobieta, w pasy przyskakując do Szwarca, który cofnął się za stół.

— Cicho kobieto! Niech pani uspokoi się i coby te małe panowie nie płakali — zawołał przestraszony, wskazując na dzieci, które uczepiły się matki i krzyczały w niebogłosy.

— Wielmożny dziedzicu, juści że prawda co od samych kopań chodzę i ciągiem mi obiecują, że zapłacą, ciągiem chodzę i proszę, to mnie cyganią ino i wyciepują kiej sukę za drzwi.

— Uspokójcie się, pomówię dzisiaj z właścicielem, przyjdźcie tutaj za tydzień, to wam zapłacą.

— Ażeby ci Pan Jezus i ta Częstochowska szczęściła na zdrowiu, na majątku, na honorze, o mój dziedzicu kochany!

— wykrzykiwała, przypadając mu do nóg, całując go po rękach.

Wydarł się jej i wyszedł, ale przystanął w wielkiej sieni i gdy wychodziła zapytał:

— Z których wy stron?

— Adyć panie, jaże z pod Skierniewic.

— Dawno w Łodzi?

— A będzie ze dwa roki jak my się tutaj przenieśli na swoje zatracenie.

— Chodzicie gdzie do roboty?

— A bo mnie to chcą gdzie przyjąć te poganiny, te heretyki zapowietrzone, a po drugie kaj ja ostawię swoje sieroty.

— Z czegoż żyjecie?

— Bidujem, wielmożny panie, bidujem. Mieszkam na Bałutach z jednymi weberami i jaże całe trzy ruble płacę za pomieszkanie miesięcznie. Póki mój nieboszczyk żył, to choćby często gęsto było ze solą albo i z głodem, ale się ta żyło, a teraz kiej jego nie stało, to chodzę na Stare Miasto do posługi, czasem kto zawoła do prania i tak jest — gadała prędko, okręcając dzieci w jakieś ohydnie brudne strzępy chustek.

— Czemu nie wróćcie na wieś, do domu?

— Wrócę panie, kiej mi tylko zapłacą za chłopca, to juści, że wrócę, a niech tam to miasteczko Łódź mór nie minie,

niech ją ta ogień spali, niech ich tam Pan Jezus niczegoj nie żałuje, coby wszystkie wyzdychały, co do jednego.

— Cicho bądźcie, nie macie za co przeklinać — szepnął nieco podrażniony.

— Ni mam za co? — wykrzyknęła zdumiona, podnosząc na niego bladą, brzydką, przegryzioną przez nędzę twarz i zapłakane, wybladłe niebieskie oczy. — A to, wielmożny panie, my na wsi byli ino komorniki, bo mój miał trzy morgi grontu, co mu przyszły w schedzie po ojcu, to że nie było za co postawić chałupy, tośwa mieszkali u stryjecznych swoich. Myśwa żyli z wyrobku ino, ale zawżdy człowiek mieszkał po ludzku i kartofli gdzie przysadził na odrobek i gąskę się uchowało albo i świniaka i jajko miał swoje i krowę mieliśwa, a tutaj co? Harował nieborak od świtu do nocy i jeść nie było co, żyliśmy kiej te dziady ostatnie, a nie kiej krześcianie, kiej psy, a nie kiej gospodarze pocziwi.

— Pocóżeście tutaj przyjechali, trzeba było siedzieć na wsi.

— Po co? — zawołała boleśnie. — A bo ja wiem! Szły wszystkie to i myśwa poszły. Na wiosnę poszedł Jadam, ostawił kobitę i poszedł. Przyjechał po żniwach taki wystrojony, co go nikt nie mógł poznać, cały w kortach i zygarek miał srybny i piestzonek i tyła piniędzy, coby na wsi i bez trzy roki nie zarobił. Ludzie się dziwowali, a ten zapowietrzony cyganił, bo mu za to zapłacili, żeby ludzi wieskich sprowadził, obiecywał Bóg wie nie co. Tak zaraz poszło z nim dwóch parobków, Janków syn i Grzegorza z pod lasu, a potem to już kto ino mógł, to leciał do tego miasteczka Łodzi. Kużdymu się chciało kortów, zygarka i rozpusty! Ja mojego strzymywałam, bo po co nam było tutaj iść, do obcych w tyli świat, to me sprał kiej bydlaka i poszedł, a potym przyjechał i zabrał ze sobą. Mój Jezu kochany, mój Jezu! — szeptała chlapiąc boleśnie i rozcierając sobie nos i łyzy brudnemi rękami i tak się zaczęła

trząść w tym rozpaczliwym płaczu, że dzieci przytuliły się do niej i także zaczęły płakać cicho.

— Macie tutaj pięć rubli i zróbcie tak jak wam mówiłem.

Miał tego już dosyć, odwrócił się spieszenie i wyszedł, nie czekając podziękowań.

Nie cierpiał roztkliwień i czułości, a ta kobieta poruszyła w nim zamierającą zwolna, duszoną świadomie — uczuciowość.

Stał czas jakiś przy kotle „oksydacyjnym” Mather-Platta, przez który przechodził towar suchy i już drukowany i z pewnem roztargnieniem przyglądał się barwom świeżo wytworzonym, a raczej rozwiniętym w przesunięciu się towaru przez kocioł. Żółte, nałożone „bejcem” kwiatki, zmieniły się na ponsowe pod wpływem wysokiej temperatury i skomplikowanych roztworów soli anilinowej.

Fabryka po chwilowym odpoczynku podwieczorkowym, pracowała znowu z jednaką energią.

Borowiecki wyjrzał na świat z okien swojego gabinetu, bo poszarzało nagle i zaczął padać śnieg nadzwyczaj gęstymi płatami i pobielił ściany fabryk i dziedziniec. Spostrzegł Horna stojącego za domkiem szwajcara, przez który było jedyne wyjście z fabryki. Horn rozmawiał z tą samą kobietą, która mu za coś dziękowała z uniesieniem i chowała jakiś papier za stanik.

— Panie Horn! — krzyknął, wychylając przez lufcik głowę.

— Miałem przyjść właśnie do pana — ozwał się Horn, zjawiając się po chwili.

— Coś pan radził tej babie? — zapytał surowym dosyć głosem, patrząc w okno.

Horn zawahał się przez mgnienie, rumieniec powlókł jego dziewczęco piękną twarz, a w niebieskich, dobrych oczach zamigotał płomień.

— Kazałem jej iść do adwokata, niechaj wytoczy proces fabryce od odszkodowanie, bo wtedy prawo zmusi ich do zapłacenia.

— Co to pana obchodzi? — zaczął lekko bębnić palcami po szybie i przygryzać usta.

— Co mnie obchodzi? — zamilkł na chwilę. — Bardzo mnie obchodzi wszelka nędza i wszelka niesprawiedliwość, bardzo...

— Czem pan tutaj jesteś? — przerwał mu ostro i usiadł przed długim stołem.

— No, jestem praktykantem kantorowym, pan dyrektor przecież wie najlepiej — odpowiedział zdumiony.

— No, to panie Horn, pan nie skończysz tej praktyki, jak mi się zdaje.

— Wreszcie, to mi jest już wszystko jedno — szepnął dosyć twardo.

— Ale nam nie jest wszystko jedno, nam — fabryce, w której pan jesteś jednym z miliona kółek! Przyjęliśmy pana nie na to, żebyś tutaj produkował się ze swoją filantropią, a tylko, abyś robił. Pan wprowadzasz zamęt tutaj, gdzie wszystko polega na najdoskonalszym funkcjonowaniu, na prawidłowości i zgodności.

— Nie jestem maszyną, jestem człowiekiem.

— W domu. W fabryce od pana nie wymaga się egzaminów na człowieczeństwo, ani egzaminów na humanitarność, w fabryce potrzebne są pańskie mięśnie i mózg pański i tylko za to płacimy panu — rozdrażniał się coraz bardziej. — Jesteś pan tutaj maszyną taką samą jak my wszyscy, więc pan rób tylko to, co do pana należy. Tutaj nie miejsce do rozanień, tutaj...

— Panie Borowiecki! — przerwał mu szybko.

— Panie von Horn! Słuchaj pan, kiedy mówię do pana — zawołał groźnie, zrzucając gniewnie wielkie album próbek na ziemię. Bucholc przyjął pana na moje zaręczenie, znam